

Wywiad Legalnej Kultury

Jacek Piotr Bławut. Nie idę na skróty



Ta historia, nie jest to stricte polską historią, mogłaby się wydarzyć w każdym innym miejscu na ziemi. Ma ona charakter uniwersalny. W zasadzie problemy ludzi są powtarzalne i to jest film o uniwersalnych wartościach i ludzkich relacjach. Myślę, że realizm magiczny, po który sięgam jest zrozumiały i czytelny niezależnie od miejsca zamieszkania i od religii w jakiej się wychowaliśmy. Z Jackiem Piotrem Bławutem rozmawiamy o dzieciach, relacjach rodzinnych i filmowych planach na przyszłość.

Czy pamięta Pan filmy z dzieciństwa, które zwróciły Pana szczególną uwagę?

Urodziłem się w 1978 roku, więc z tego co najbardziej mi zapadło w pamięć to przede wszystkim początki twórczości Georga Lucasa, Stevena Spielberga. Przyznam jednak, że najbardziej z tamtego okresu podobała mi się japońska "Gamera". Film, pokroju Godzilli, o wielkim żółwiu potworze. Do dziś pamiętam, jak byliśmy na nim w kinie. Wielki latający żółw zrobił na mnie niesamowite wrażenie.

I ta impresja została w Pana głowie?

Jasne, że tak. Takie rzeczy zostają na długo w pamięci. My nawet nie zdajemy sobie sprawy, ile w naszych głowach zostaje obrazów i treści z okresu dzieciństwa, które potem w jakiś dziwny sposób przypominają nam o swoim istnieniu, kiedy jesteśmy dorośli.



foto. dystrybucja Mówi serwis

„Dzień czekolady” to Pana pełnometrażowy debiut. W opisach i recenzjach czytam, że to film dla dzieci, a ja myślę, że to jest opowieść także dla dorosłych.

Chciałbym, żeby było tak i tak. Zrobiłem go z intencją filmu dla dzieci i rodziców – bo on jest dedykowany obu tym grupom. Myślę, że dzieci na swoim poziomie percepcji potrafią naprawdę wiele z niego wynieść, ale jest też ważny dla rodziców, bo pokazuje pewne mechanizmy zachowania i porusza tematy, które my jako rodzice powinniśmy przepracować z naszymi dziećmi. Ten film bez rozmowy traci całą swoją wartość. Dzięki temu, że historia jest pozbawiona dosłowności pojawia się przestrzeń, którą możemy dookreślić.

Film o upływie czasu, odchodzeniu, śmierci. Czy rozmawia Pan o tych trudnych tematach ze swoimi dziećmi, bo przecież jest Pan także tatą?

Tak, zdecydowanie. Mam trójkę dzieci i nie uciekamy od takich rozmów. Ten film ma za zadanie pomóc w takiej rozmowie. On mówi o śmierci w sposób niedosłowny. Tu ani razu nie pada słowo śmierć, nie żyje – tego trzeba się właśnie domyślić, wydedukować z filmu. Chodziło mi o to, żeby każde dziecko na swoim poziomie rozwoju emocjonalnego odebrało tę historię na swój unikalny sposób. Rolą nauczycieli, opiekunów czy rodziców jest, by to rozumienie pogłębić na tyle, na ile dzieci są na to gotowe. Ważne, żeby z dziećmi rozmawiać na ważne tematy. Koniec końców każdy z nas styka się ze śmiercią, dzieci również. Nam się wydaje, że będziemy tymi wybranymi i będziemy żyć wiecznie. A to nieprawda. Chodzi o to, żeby nie obudzić się w ostatniej chwili, kiedy tragedia już się wydarza, bo trudno wtedy rozmawiać. Fajnie, gdyby film „Dzień czekolady” był takim zapalnikiem do rozmowy o przemijaniu, bez ciężaru emocjonalnego wydarzającej się w rodzinie tragedii. Możemy, dzięki niemu, rozmawiać w komfortowych warunkach, odnosząc się do historii wymyślonej, a nie o czymś co nas na żywo dotyka tu i teraz, gdy jest popłoch i kiedy sami nie możemy się pozbierać po stracie kogoś bliskiego.

Film jest nieoczywisty również za sprawą realizmu magicznego.

Tak, warstwa wyrazu była niezwykle ważna. Bo to ona nadaje mu unikalny charakter. Ta historia, nie jest to stricte polską historią, mogłaby się wydarzyć w każdym innym miejscu na ziemi. Ma ona charakter uniwersalny. W zasadzie problemy ludzi są powtarzalne i to jest film o uniwersalnych wartościach i ludzkich relacjach. Myślę, że realizm magiczny, po który sięgam jest zrozumiały i czytelny niezależnie od miejsca zamieszkania i od religii w jakiej się wychowaliśmy.

W jednym z wywiadów powiedział Pan: lubię dać sobie czas na błędzenie. To w kontekście pracy nad filmem.

Ja faktycznie długo przygotowuję się do filmów, ale i praca przy filmie jest długofalowa. Czasem trwa kilka lat. Trzeba mieć dużo determinacji, żeby robić kino. Przyznaję, że nie idę na skróty. Poza tym jestem w tej dobrej sytuacji, że producentem filmów jest moja żona. Daje mi szansę na to, abym mógł wypracować wszystko i abym mógł w pełni jak najlepiej przygotować się do projektu. To ogromny przywilej, że pracujemy razem i wspólnie dążymy do osiągnięcia najlepszego efektu. Po prostu chcemy zrobić jak najlepszy film i to jest idealny układ, kiedy producent i reżyser mają ten sam cel.

A to nie wpływa na Wasze prywatne życie? Nie przeszkadza?

Nie. Tak się składa, że spędzamy ze sobą prawie 24 godziny na dobę. Mamy trójkę dzieci, więc jesteśmy naprawdę zaprawieni w boju. W domu jesteśmy rodzicami, potem idziemy do pracy, staramy się wykonywać wspólnie nasze zadania jakie sobie postawiliśmy i w żaden sposób jakoś negatywnie na nas to nie wpływa. To nawet fajne, bo po prostu wiele rzeczy możemy razem dzielić i wzajemnie się rozwijać, a także motywować.

Film powstał na podstawie książki Anny Onichimowskiej o tym samym tytule. To jest adaptacja?

Z adaptacją książki jest tak, że zupełnie inaczej konstruując dramaturgię opowiada się literaturą, a inaczej kinem. Scenariusz, który powstał na podstawie książki Ani przeszedł długą drogę. Niektóre wybory były konieczne, aby nadać tej historii pewną filmowość.

Ale film wcale nie jest prosty.

Oczywiście, że nie. Ale warto zwrócić uwagę, że książka ma inny charakter niż film. Gdy czytamy, inaczej biegnie nam czas, inaczej ją przetwarzamy w głowie. Pracowaliśmy długo nad tym, aby tę mini powieść dostosować do formatu pełnometrażowego filmu i nie było łatwo, ale najważniejsze, że się udało. W książce jest bardzo dużo różnych elementów, ale było konieczne, aby pewne sprawy uprościć i skupić się na konkretnych postaciach.

Role powierzył Pan dwojce dzieci, bardzo plastycznych zresztą. Jak przebiegał casting do tej produkcji?

Był bardzo złożony, wieloetapowy. Miałem poczucie, że nie mogę sobie pozwolić na błędy w tej kwestii. Film oparty jest na tych dzieciach i od nich zależało jego powodzenie. Odbyło się wiele castingów w całej Polsce, przesłuchaliśmy kilkaset dzieci. Wszystko przebiegało wieloetapowo, dokonywaliśmy selekcji. Pracowaliśmy w parach, w różnych roszadach, kto jak z kim współpracuje, jak się dogaduje. Mówimy tu o młodych ludziach, dzieciach, od których nie można wymagać profesjonalnego aktorstwa. Starłem się znaleźć osoby zbliżone charakterologicznie do postaci w filmie. Ten zabieg spowodował, że łatwiej było dzieciom wejść w rolę, aby były jak najbardziej wiarygodnie. To było poszukiwanie konkretnych charakterów. W Julce jest sporo z Moniki, a w Leo jest dużo z filmowego Dawida.

A czy Pan rozmawiał z dziećmi o czym jest ten film?

Mieliśmy takie dyskusje. Gdy przeczytali scenariusz pytałem, co sądzą, jak odebrali tę historię. Później z tych rozmów wynikały konkluzje, co powinni wiedzieć o swoich postaciach. To były luźne rozmowy. Potem w trakcie zdjęć był inny rodzaj pracy. Musieliśmy przygotować dzieci do odgrywania konkretnych emocji w scenach, więc to była już zupełnie inna praca. Wiadomo, że jest bardzo ciężko wczuć się na planie w swoją postać, bo przecież nie kręcimy tego linearnie tak jak jest w filmie. Ja postawiłem na to, żeby przed każdą sceną dzieci były poza planem przygotowywane emocjonalnie do tego co będzie się tam działo. Były maksymalnie separowane od ekipy, od takich rozpraszających elementów, a na plan wchodziły dopiero, kiedy było to już konieczne.

W obsadzie filmu pojawia się Magdalena Cielecka, to nie pierwszy raz współpracuje z Panem - przywołam tu film „Jezioro”, ponadto grają m.in. Katarzyna Kwiatkowska, Dawid Ogrodnik, Tomasz Kot - to taki dream team?

Z Magdą Cielecką rzeczywiście pracowaliśmy wcześniej przy „Jeziorze”. Bardzo mi się podobała ta praca, bo mieliśmy podobną wizję tego, jaki film chcemy zrobić. W przypadku filmu „Dzień czekolady” postać kelnera w wykonaniu Magdy Cieleckiej była szaloną

decyzją. Długo szukałem tego jak to ugryźć. Chciałem, żeby każda postać w filmie, mająca większy lub mniejszy epizod, miała w sobie coś ciekawego, intrygującego. To jest bardzo kameralny film, na bardzo małą liczbę osób, dlatego każda z tych postaci musiała być wyjątkowa. Kelnera długo szukałem, myślałem co mu dać, żeby uczynić go wyjątkowym. I kiedy urodził się ten szalony pomysł, aby zaproponować rolę Magdzie Cieleckiej, która kupiła to od razu, to myślę, że wyszło z tego coś naprawdę fajnego i jestem przekonany, że czasem warto ryzykować. Postaci po drugiej stronie zegara to takie barwne ptaki tego filmu, tak je określam. Dzięki nim przenosimy się w inny wymiar. Nadają filmowi surrealistycznego charakteru.

Wkroczył Pan na drogę reżyserską i jakoś mnie to nie dziwi, bo Pana ojciec jest również filmowcem, dokumentalistą. Ale odnoszę wrażenie, że Pana filmy to też takie eksperymenty.

Oczywiście, że tak. Bardzo bliskie jest mi myślenie formą, to wynik studiowania na ASP. Koncepcja artystyczna filmu, jego wizualna, dźwiękowa strona jest dla mnie bardzo ważna. Długo broniłem się przed drogą reżysera filmowego, widziałem swoje miejsce zupełnie gdzie indziej, ale to się zmieniło, kiedy zrozumiałem jakie kino chciałbym realizować. Ważne było, aby znaleźć swoją własną drogę, odmienną od drogi mojego ojca. Odkryłem, że jest mi bliskie kino dziecięce, młodzieżowe oraz dokumenty związane z dźwiękiem oraz muzyką, dlatego podążam tą drogą. To takie moje dwie nisze, z których, póki co nie zamierzam wychodzić.

I kieruje się Pan zasadą ojca - by nie krzywdzić bohatera?

Tak. Tata jest bardzo blisko swoich bohaterów. Chcąc nie chcąc przyjąłem pewną etykę zawodową - myślenie o bohaterze, o tym co mogę powiedzieć, dokąd mogę się posunąć, jak dalece współpracować z bohaterem i szukać konsensusu pomiędzy tym co chcę zrobić, a co jest dobre dla bohaterów filmu. To mnóstwo wyzwań, które często towarzyszą pracy na planie w szczególności przy filmie dokumentalnym, ale przekłada się to również na pracę z aktorami.

A jak to jest, gdy ma się takie samo imię jak ojciec i działa się w tej samej branży?

(śmiech) Kiepski dowcip zrobili mi rodzice, dlatego używam drugiego imienia Jacek Piotr, aby nie być pomyłonym z ojcem. Faktycznie na początku dochodziło do śmiesznych sytuacji, znajomi ojca z branży pytali: co ty Jacek bierzesz się za kino dziecięce? Musiałem doprowadzić do sytuacji, w której zacznie być to czytelne, że ja to ja. Myślę, że ten moment już jest. Nie ma już wątpliwości, że to ja zajmuję się kinem dziecięcym, a nie tata.

Słyszysz się taką opinię, że dzieci to wymagająca publiczność, czy to prawda i co to znaczy?

Jest wymagająca pod tym względem, że jest bezkompromisowa, nie oszczędza, mówi wprost co myśli. Wymagająca, wcale nie oznacza, że my - filmowcy musimy nauczyć się robić filmy, które będą się dzieciom podobać. Moim zdaniem to nie do końca o to chodzi,

bo jeśli tak by było, to wtedy doprowadzimy do sytuacji, że nie będziemy od widza niczego wymagać, że nie będziemy mogli mu przedstawić czegoś, co go zaskoczy, a będzie dostawał tylko to, czego oczekuje. Ja myślę, że amerykańskie produkcje, blockbustery spełniają już tę rolę. Oczywiście nie wszystkie, bo zdarzają się też mądre filmy, ale część z nich jest podyktowana tylko walorami komercyjnymi tak, żeby zadowolić dzieci. A moim zdaniem nie do końca o to chodzi w kinie. Chodzi o to, żeby uwrażliwić tę młodą widownię, starać się do nich dotrzeć używając ich języka. To trudne. Zależy mi bardzo na tym, aby dzieci zaczęły myśleć o kinie inaczej, nie tylko w kategoriach dobrej rozrywki, że można spotkać się z innym rodzajem emocji na ekranie. Myślę, że to jest rola europejskiego kina, bo nie wiem czy w pełni należy ścigać się z kinem amerykańskim. Dla mnie najważniejszą wartością filmu jest refleksja, którą może on obdarzyć widza. Dobre filmy zmieniają często nasze postrzeganie świata. Pamiętam, gdy nauczycielka w szkole podstawowej pokazała nam film „Stowarzyszenie umarłych poetów”, wtedy to kompletnie zmieniło się moje patrzenie na świat, na ludzkie problemy, to pobudziło moją empatię i było niesamowitym doświadczeniem.

A czy tworzenie w Polsce filmów dla dzieci to wyzwanie dla filmowca?

Kiedy otrzymaliśmy nagrodę w Cannes za scenariusz do filmu „Dzień czekolady”, myśleliśmy, że to będzie oczywiste, że od razu będziemy realizować ten projekt, ale niestety wydarzyło się coś szczególnego. Recenzenci mieli chyba inną wrażliwość ode mnie na to jakie powinno być kino dziecięce. Dostałem wtedy recenzje, że niepotrzebny jest film dla dzieci o śmierci i przyznam, że trudno było mi z tym dyskutować. Myślałem wtedy - a o czym robić filmy, jak nie o takich ważnych tematach? Dla mnie było to naturalne, że chcę robić filmy ważne. Nie było wtedy kina dziecięcego, a wszyscy oczekiwali, że będziemy tak po bożemu - miło, łatwo i przyjemnie realizować rozrywkę, a ja tu wyskoczyłem z takim trudnym filmem.

Ale w końcu się udało?

Nasza determinacja i splot okoliczności sprawił, że udało się w końcu zrealizować ten film. Dostaliśmy się do komisji Pawła Pawlikowskiego w PISF-ie, pojawili się ludzie, którzy uwierzyli w nas, że mamy rację, że wiemy, jak zrobić ciekawy film i w tym momencie skończyły się nasze problemy. Dostaliśmy olbrzymie wsparcie od PISF-u do samego końca realizacji tej produkcji.



fol. dystrybucja Mówi serwis

A czy konsultuje Pan swoje filmy z ojcem?

Oczywiście, to chyba naturalne. Ojciec był moim konsultantem, opiekunem artystycznym już na etapie scenariusza, poprzez zdjęcia aż po montaż. Ojciec jest dobrym pedagogiem, nigdy nie narzuca swojego zdania, zawsze stara się znaleźć to, co twórca chciał powiedzieć, a na przykład tego nie widać w filmie.

„Dzień czekolady” to kino autorskie. Na czym ono polega i co to znaczy?

Ten film jest autorski pod względem formalnym, ponieważ odwołuje się do pewnych inspiracji kinem anime, które ja bardzo lubię. Hayao Miyazaki to dla mnie ikona kina, był

dla mnie drogowskazem przy tej realizacji. Staraliśmy się przełożyć ciekawe rzeczy z anime na kino aktorskie, stąd dużo jest u nas zabawy obrazem, kompozycją kadru. Film jest bardzo wizualny w odbiorze, dźwiękowo staraliśmy się z Radkiem Ochnio szukać pewnego surrealizmu w świecie fantastycznym jak i rzeczywistym. W złożony i precyzyjny sposób podeszliśmy do postprodukcji obrazu i dźwięku. Odnoszę wrażenie, że dźwięk jest czasami niedoceniany i pokutuje takie podejście, że „byle by było słycać”. A ja uważam, że dźwiękiem można ugrać naprawdę znacznie więcej niż samym obrazem. Dlatego staraliśmy się w tym filmie znaleźć i uchwycić takie ciekawe rozwiązania. Kreacją dźwiękową możemy zmienić odbiór filmu i należy o tym pamiętać w postprodukcji świadomie operując dźwiękiem.

Przeczytałam na FB „Dnia czekolady”, że to najmądrzejszy film. Nie boi się Pan takich określeń?

Nie boję się, a pewnie powinienem. To jest pytanie, czy ludzie chodzą do kina tylko dla czystej rozrywki, czy po to, żeby coś przeżyć? Chcę wierzyć, że widzowie potrafią docenić filmy, które czegoś od nich wymagają i są pewnego rodzaju wyzwaniem. Bardzo się cieszę, że ktoś tak określił film.

Przysłowiowy dzień czekolady powinien jak najczęściej gościć w naszych domach?

Naturalnie, jest to rodzaj rytuału. Czas spędzany z dziećmi to coś bardzo ważnego. I nie chodzi tylko o dobrą rozrywkę czy zabawę, ale przede wszystkim o budowanie więzi emocjonalnych w każdym wieku. Ja również staram się mieć jak najwięcej takich rytuałów w swoim domu, bo to integruje rodzinę, pozwala być ze sobą razem, zwłaszcza w tych zabieganych dzisiejszych czasach. To nas scala.

A nad czym teraz Pan pracuje?

Wygrałem konkurs rozpisany przez Narodowy Instytut Fryderyka Chopina na koncepcję pełnometrażowego filmu o młodości Chopina. Historia będzie skupiać się na jego autentycznym, wakacyjnym pobycie w Szafarni, jego kontakcie z polską wsią i muzyką ludową. Wplątam do filmu elementy mitologii słowiańskiej, czegoś co jest bliskie naszym korzeniom. Opowieść opiera się na faktografii, ale pomyślałem sobie, że dlaczego nie mogłoby znaleźć się w niej trochę świata magicznego, mitologii, która jest atrakcyjna, a niestety stała się zapomniana w naszej kulturze. Wątek mitologii słowiańskiej tym bardziej jest ważny, ponieważ w romantyzmie był inspiracją dla ówczesnych twórców. Cieszę się również, że już na etapie pomysłu na film udało mi się opowiedzieć o muzyce, jej sile, wpływie na ludzi i ich emocjonalności, a przede wszystkim o tym, czym mogła się stać dla Chopina, gdy odkrywał jej wagę.

Czyli jest Pan konsekwentny i powstanie kolejny film o muzyce?

Bo to jest super, aby robić filmy dla młodzieży, które nie ograniczają się tylko do opowieści o człowieku, ale jednocześnie opowiadają o muzyce. Dla mnie prywatnie, jest to spełnienie marzeń.

Czyli marzenia spełniają się, a czy są kolejne?

Myślę, że realizacja tego marzenia potrwa najbliższych kilka lat. Jako reżyser muszę pracować w kilku projektach jednocześnie, bo nigdy nie wiadomo co uda się zrealizować najpierw. Obok filmu o Chopinie jest inny projekt, który rozwijam – czyli kino proekologiczne, science-fiction.



fot. Radosław Ładczuk

Zabrzmiało intrygująco, ale bardzo aktualnie.

Długo zastanawialiśmy się z żoną jaki będzie następny projekt. Jedno było pewne, że będzie to coś, w co będziemy wierzyć, co będzie dla nas ważne na tyle, żeby znaleźć w sobie wystarczającą ilość determinacji, aby ten projekt zrealizować. To są produkcje na

lata, więc jeśli się w to nie wierzy, nie ma pełnego przekonania w to, co się robi oraz po co, to wtedy, na pierwszej czy drugiej porażce można się poddać, a nie możemy sobie na to pozwolić. W projekt „Dzień czekolady” mocno wierzyliśmy, chociaż nie było łatwo wytrzymać oporu losu, pomimo tego udało nam się go zrealizować. I tak też trzeba myśleć o każdym kolejnym projekcie, że to muszą być rzeczy dla nas naprawdę ważne.

Zadawaliśmy sobie pytania: o czym mamy robić film? co jest teraz najistotniejszym tematem? I odpowiedź przyszła natychmiast -autentycznie boję się tego, w jakim świecie będzie żyła moja trójka dzieci. I chcę poruszyć ten temat w kinie, żeby się nad tym zastanowić, zatrzymać na chwilę i sprawdzić czy naprawdę jak mówią niektórzy, nasza obecność na Ziemi nie ma wpływu na degradację planety. Śmiem w to wątpić. To będzie wyjątkowa opowieść, zwłaszcza, że bohaterami filmu będą drzewa.

Wyczuwam silne skojarzenie z książką „Sekretne życie drzew” Petera Wohllebena? To przypadek?

(śmiech) Ja zawsze interesowałem się biologią, ale faktycznie mamy boom na książki o przyrodzie, o traktowaniu przyrody. Ten film idzie za tym nurtem, ale decyzję o jego realizacji podjąłem dużo wcześniej. Interesuję się biologią i fizyką, to są dla mnie tematy, do których hobbystycznie zaglądam.

To proszę jeszcze wytłumaczyć pomysł na studia na ASP?

(śmiech) Ja lubię takie dziwne rzeczy robić w życiu. Razem z kolegą, na dyplom w liceum plastycznym postanowiliśmy zrealizować witraż. Udało nam się to. Pomyślałem wtedy, że kończąc liceum trzeba iść dalej, w ten sposób znalazłem na ASP we Wrocławiu Wydział Szkła i Ceramiki. Był to bardzo ciekawy okres w moim życiu. Na pewno studia nauczyły mnie cierpliwości, która przydaje się bardzo podczas pracy na planie i poza nim. Dodatkowo studia uwrażliwiły mnie estetycznie. Praca ze światłem i szkłem jest niezwykła. Teraz już nie pracuję ze szkłem, ale nie wykluczam, że może na starość kupię sobie piec i podziałam w tej materii.

A gra Pan na jakimś instrumencie muzycznym?

Robiłem podchody do tego przez całe życie, ale jakoś mi się nie udawało. Nigdy nie miałem takich predyspozycji ani szans na to, żeby grać. Bardzo dużo natomiast słucham muzyki, jestem ogromnym melomanem, to bardzo bliskie mi medium. Przyznam, że teraz coś się nowego otworzyło przede mną. Zacząłem zgłębiać tajniki muzyki syntetyzatorów modularnych, które pozwalają tworzyć muzykę nawet, gdy nie jest się szkolonym kompozytorem. Jest tylko kwestia tego czy mam coś do powiedzenia, czy nie. Przez wiele lat rosło we mnie to marzenie i jakoś tak nie mogło nigdzie znaleźć punktu ujścia, aż do teraz. Wirtuozem już nie zostanę, aczkolwiek sprawia mi ogromną przyjemność grzebanie w syntetyzatorze i tworzenie rzeczy dla siebie, dla spełnienia swoich potrzeb twórczych.

A jakie filmy lubi Pan oglądać?

Coraz częściej lubię oglądać filmy, które przenoszą mnie do świata, którego nie znam. Kiedyś sięgałem po kino obyczajowe, autorskie, trudniejsze. Teraz lubię zwiedzać różne

wszechświaty. Tym właśnie jest kino dla mnie, dzięki wyobraźni twórców mogę się na chwilę przenieść do innego świata. Uwielbiam mądre kino science-fiction łączące w sobie rozrywkę i elementy refleksji.

Jednym z celów Fundacji Legalna Kultura jest budowanie świadomości na temat korzystania z legalnych źródeł kultury. Jak Pan, jako twórca, reaguje na piractwo i jakie ma Pan zdanie na ten temat?

Myślę, że wszystko zmierza w dobrą stronę. Sam, jako użytkownik, korzystam z trzech serwisów internetowych, dzięki którym mogę w legalny sposób korzystać z kultury. Był czas, kiedy te serwisy nie nadążały za potrzebami widza, który chce coraz częściej oglądać filmy w domu z rodziną, ale to już historia. Jestem absolutnie za tym, żeby oglądać legalnie, ale trzeba ludziom to też umożliwić. Nie mówmy o tym, że mamy być wszyscy legalni. Myślmy o tym, że to się nie wydarzy, jeśli my twórcy nie wyciągniemy ręki do widza. Kultura powinna być dostępna na takich warunkach na jakich chcą tego odbiorcy i w tym kierunku zmierza świat, i nie możemy się na to obrażać. Myślę, że to jest nasza wspólna praca, żebyśmy mieli świadomość korzystania z legalnych źródeł i robili wszystko, by tego dopełnić.

rozmawiała Lukrecja Jaszewska

fot. tytułowa: Radosław Ladczyk

<https://www.legalnakultura.pl/pl/czytelnia-kulturalna/rozmowy/news/3302,jacek-blawut-nie-ide-na-skroty>

Publikacja powstała w ramach Społecznej kampanii edukacyjnej Legalna Kultura

